Nr. 11. Lwów, 1 czerwca 1899. Rok XXII.



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

ZJAZD ŁOWIECKI.

Komisya, wybrana na ostatniem posiedzeniu przez Wydział galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego w celu poczynienia przygotowań do trzeciego Zjazdu łowieckiego, uchwaliła na posiedzeniu z dnia 23. maja, oznaczyć dzień 30. czerwca na termin Zjazdu. W dniu tym więc odbędzie się we Lwowie trzeci Zjazd łowiecki. Program jego obrad, oraz regulamin popisowego strzelania o nagrody honorowe, ogłoszone zostaną w następnym numerze *Łowca*.

W dniu 30. czerwca br. przybędą więc do Lwowa, ze wszystkich stron kraju, druhowie z pod sztandaru św. Huberta, a przybędą — jak mamy nadzieję — w licznem gronie, aby popchnąć naprzód prace zainicyowane przez poprzednie zjazdy, zdać sobie sprawę z tego, co dotychczas już uczyniono, aby wypowiedzieć swe zdania i opinie, podzielić się zdobytemi doświadczeniami z swymi druhami, poprzeć uchwałami swemi akcyę Wydziału galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego w sprawie zmiany niektórych przepisów nowej ustawy łowieckiej, która, jak wykazała już krótka praktyka, ma wiele braków i niedokładności. Uchwała wiecu, powzięta przez łowców zebranych ze wszystkich stron kraju, musi zaważyć na szali i musi zwrócić uwagę Wydziału krajowego i Sejmu na skargi zewsząd się podnoszące. A innych spraw ważnych tyle do omówienia, że obrady Zjazdu będą bardzo ożywione i przyniosą pożytek naszemu łowiectwu.

Przybywajmy więc licznie na Zjazd — wymaga tego od nas dobro sprawy łowieckiej!

Wydział.

Łowiectwo na dworze Władysława Jagiełły.

przez Tadeusza Mańkowskiego.

Jedną z najbardziej pociągających i dla badacza najponętniejszych rzeczy w dziejach naszych jest strona obyczajowa dawnego społeczeństwa polskiego w różnych okresach czasu. Z drobnych szczegółów zdołamy sobie nieraz uprzytomnić i przywołać przed oczy całe to wewnętrzne życie, tak barwne w zamarłej przeszłości dziejowej. Jak zoolog z odnalezionych paru kości zwierzęcia, dawno gdzieś zaginionego, może niekiedy wskrzesić nam obraz i postać zwierza — tak nieraz i na polu badań historycznych parę szczegółów, dotyczących codziennego życia przodków naszych, rzuca światło na ich charakter, sposób życia i upodobania znamionujące epokę, wskrzesza ludzi w niej żyjących z ich zwyczajami i obyczajami tak znamiennymi.

Nieporównaną skarbnicą dla tego rodzaju badań nad końcem wieku XIV, a początkiem XV. jest wydana przez prof. Piekosińskiego księga rachunków dworu króla Wład. Jagiełły i królowej Jadwigi z lat 1388 do 1420. (Kraków 1896. *Monumenta medii aevi historica Tomus XV).* Wśród mnóstwa innych szczegółów, odnoszących się do życia królestwa i ich dworu, spotykamy tam niejednokrotnie wzmianki o rozrywkach łowieckich króla. Te materyały postanowiliśmy zużytkować w sposób właściwy.

Długosz mówiąc o życiu, obyczajach i ułomnomnościach Jagiełły *), powiada, że „w myśliwstwie zamiłowany był aż do zaniedbywania spraw publicznych i ściągania sobie słusznych zarzutów“. Wogóle uczony kronikarz, surowych obyczajów ksiądz, nie był widocznie przychylnie usposobionym dla szlachetnej, łowieckiej rozrywki króla, nie waha się bowiem wypowiedzieć dalej surowego w tym względzie sądu o Jagielle: „W zabawach myśliwskich ani miary zachować, ani czasu oszczędzać umiał; ztąd i dworzanom, którzy mu na łowach w czasie zimna lub upałów po lasach i kniejach dotrzymywali, hojne sypał nagrody, aby ich zachęcić do cierpliwego trudów znoszenia. A tak dochody publiczne pochłaniali niewcześnie i niegodziwie dworacy, którzy nie w usługach kraju, ale w gonitwach za zwierzyną prace swoje poświęcali“ *). Pasya ta myśliwska musiała być widocznie wspólną całemu rodowi Gedyminowiczów, a późniejszemu Jagiellonów. Gdzieindziej bowiem znów Długosz nie szczędzi słów przygany bratu Jagiełły Witoldowi za jego nieumiarkowane oddawanie się tej namiętności. W każdym razie pasya myśliwska występuje jako wybitny rys charakteru Jagiełły. Zamiłowaniu temu musiało naturalnie odpowiadać całe urządzenie dworu królewskiego i do niego niejednokrotnie się przystosowywać.

Na czele zarządu „łowisk“ królewskich stał właściwie tz. „łowczy“, urzędnik nadworny. Urząd łowczego jednak, pierwotnie posiadający pod tym względem pełnię władzy, z czasem stawał się coraz więcej raczej tytularnym niż faktycznym. Drugim urzędnikiem łowieckim był łowczy w każdej prawie kasztelanii znajdujący się *venator castri*, jak go niekiedy źródła nazywają. Wiek XIV. i XV. jest okresem przejściowym, jest to czas, kiedy urzędy dawne książęce i królewskie po połączeniu całej Polski, dawniej na dzielnice rozbitej, zwolna przechodzą w urzędy ziemskie, li tytularne. Stąd więc i łowczowie, choć ten tytuł zachowują, nie są już nimi najczęściej faktycznie. Rachunki dworu Jagiełły nie dają nam jednak żadnych wiadomości o tych urzędnikach, skąinąd wiemy jedynie, że byli nimi podówczas w Krakowie Zbyszko z Łapanowa, Bolcera z Szumska i Janusz z Kobylan.

Zato co do łowców (przeciwstawiam tę nazwę jako niższego rzędu ludzi oznaczającą, nazwie urzędników-łowczych) to znajdujemy tu liczne o nich wzmianki. Jagiełło z Litwy przywiódł licznych swoich, a wypróbowanych łowców rozmaitego pochodzenia, więc Litwinów, Rusinów *(Rutheni, Mosquiti, Scismatici)*, prócz tego znajdujemy wśród nich Polaków i Czechów, świadomych arkanów sztuki łowieckiej, których Jagiełło chętnie do pocztu swych łowców sprowadzał. Łowcy dzielili się na dwie kategorye: łowców w całem tego słowa znaczeniu, zwanych czasem *venator senior* po łacinie i sług ich (*famuli*) pod rozkazami ich wykonywujących pewne prace i zadania sobie powierzone. Od spełnianych czynności nosili ci łowcy starsi pewne nazwy, więc zajmujących się psami myśliwskimi, ich utrzymaniem i sposobieniem do łowów zwano psiarzami, psiarkami (psarze, *psarennes, psarczones, canum ductores, custodes canum*) po łacinie najczęściej *canistae.* Pieczę nad sokołami sprawowali sokolnicy (*falconistae, falconarii*) a ptasznicy (*aucupi*) chwytali ptactwo na lep lub sieci.

Najczęściej wymieniane spotykamy nazwiska Stanisława Litwina starszego łowczego *(Stanislaus Lythwanus venator senior* str. 110), Koczela psiarza (*Coczel, qui fovet valteres 556)* Białkę, Jana Czecha, Daniłę (widocznie ruskiego pochodzenia) Piotra ptasznika, Mikołaja zwanego Storczyn i Czcibora strzelców i wielu innych, wymienianych pod ogólną nazwą łowczych.

Ulubionem miejscem łowów Jagiełły była puszcza niepołomicka, obszarem swym rozległa, a obfitująca w zwierza, prócz tego inne lasy i bory małopolskie, jak Słomniki *(Schlomniki)*, Radoszyce (*Radoschicze*), Proszowice *(Proschowicze)* i Jedlna (*Yedlna*) były polem łowów królewskich. Wogóle w tych czasach ograniczały się te łowy już jedynie na lasy i terytorya królewskie; dawne regale łowieckie książęce należy już uważać za minione bezpowrotnie, a z niem i łowy dawne księcia nie krępowane żadnemi granicami, ani niczyją własnością terytoryum. W każdym z tych lasów królewskich byli utrzymywani stale stróże leśni (*custodes silvarum*) mający także pieczę nad zwierzyną, a prócz tego mieli tu swe leże królewscy psiarze z złają psów, które tutaj do łowów zaprawiali. Łowcy ci jednak, prócz właściwego im rzemiosła myśliwskiego, porali się niekiedy jeszcze i uprawą ziemi w drugim już rzędzie. Tak mianowicie widzimy to w Jedlnej, gdzie według świadectwa Długosza rola nie jest porozdzielaną

*) Dzieje Polski (Tłum. Mecherzyńskiego) T. IV. str. 493.

*) Ibid str. 496.

na łany, lecz bywa przez łowców tu i ówdzie uprawianą *).

Każdy z tych łowców, jak już wspomnieliśmy, miał pod sobą pewną ilość sług, oraz konie i psy w swym orszaku, do usług łowieckich sposobnych, więc naprzykład rachunki wymieniają łowczego Zbramira, który z 25 psami i dwoma końmi przybywa dla łowów do Niepołomic (str. 26) itp., prócz tego często wiedli łowcy ze sobą wozy na rekwizyta myśliwskie *(pro curru eisdem canistis cum suis attinenciis* str. 559).

Ze wzmianek źródłowych jesteśmy w stanie nawet przedstawić sobie strój łowców. Składał on się z ubioru sukiennego, *(iopula, pellicia)*; u łowców w właściwem tego słowa znaczeniu, więc wyższego rzędu, z sukna lepszego gatunku, u sług ich pośledniejszego, krajowego *(pannus terrestris)*. Prócz tego płaszcz (*palium*) trzewiki wiązane jak sandały lub buty na nogach *(ocreae minores vel majores caligae sotulares 558)*, a na głowie kosmaty kapelusz lub futrzana czapka (*pileus irsutus, alias kosmaty*) dopełniały stroju. Sokolnicy prócz tego mieli na ręce rękawicę (*chiroteca-cyroteca*), na której trzymali sokoła.

Najbardziej rozpowszechniony i uważany za najszlachetniejszy był rodzaj łowów, jakbyśmy je dziś nazwali, polowanie z gończakami. Psy w ten sam sposób, jak dziś, spełniały swą powinność, goniąc zwierza głosem i przytrzymując go; myśliwy jednak w bardziej rycerski sposób stawał do walki z rozjuszonym zwierzem, oko w oko z oszczepem tylko w ręku. Ten sposób polowania wymagał naturalnie wiele odwagi, zimnej krwi i pewności ręki, ale też zaprawiał do boju i kształcił rycerstwo do walki orężnej z nieprzyjacielem. Łowy tego rodzaju stosowano przedewszystkiem do grubszego zwierza, jak niedźwiedzie, dziki. Na jelenie polowano zwykle *par force*, póki zwierz ścigany nie padł ze znużenia, stając się ofiarą goniących psów. Łowami na wielką skalę była obława urządzana przy pomocy naganki, oraz psów podkładanych, podczas gdy myśliwi stali na swych stanowiskach, kładąc zwierza pędzonego na nich oszczepem lub częściej z kuszy lub łuku. Łowy te, które tak barwnie opisuje Sienkiewicz w „Krzyżakach“, miały miejsce za Jagiełły najczęściej w puszczy niepołomickiej. Osobni łowcy królewscy, zwani strzelcami, jak np. Mikołaj zwany Storczyn i Czcibor (*sagittarii domini Regis*), oraz *sagittarii Lythuani* (*50*) wprawni w strzelaniu z kusz byli królowi pomocni w tych łowach. W polowaniu tego rodzaju można było osiągnąć stosunkowo najwyższą ilość ubitej zwierzyny, to też, gdy chodziło o zaopatrzenie spiżarni królewskiej, wyprawiali się ci strzelcy z podwładną sobie służbą, zwykle 8 łowców w 12 koni (str. 50) dla strzelania zwierza na łowach w lesie niepołomickim *ad sagittandum ferarum in venacione silva Nepolomiensis*.

Nic dziwnego, że łowy ówczesne przy nader prymitywnych stosunkowo środkach i łowów i broni stawały się niebezpieczne i niejednokrotnie kończyły się zwycięstwem napastowanego zwierza. Wiemy z Długosza, że sam król raz uległ smutnemu wypadkowi r. 1426, kiedy w puszczy Białowieskiej, na polowaniu na niedźwiedzia złamał nogę „nieszczęśliwą przygodą“; innym razem znów mamy wzmiankę o sześciu psach na łowach na dziki poranionych przez nie i poszarpanych (*sex canes regales in venatione destructi, per scrophus lacerati in Nepolomice remanserunt*), które leczono w Niepołomicach.

Psiarnię miał Jagiełło nader liczną i doborową. Prócz zwykłych psów gończych, wymienianych pod nazwą *canes venatici* lub *valtres, valteres*, które szczególne w pośród nich miały znaczenie i widocznie były za najlepsze uważane (*multos canes venaticos nisi VI. valteres valentes regales 44)*, spotykamy się w rachunkach dworu z psami medyolańskimi, sławnymi podówczas, a sprowadzanymi specyalnie z Włoch przez króla. Osobni psiarze, zwani *canistae Mediolanenses* (od pochodzenia psów nie swego) mieli oddaną sobie pieczę nad niemi, a szczególna troskliwość o nie objawiała się w tem, że podczas gdy wszystkie inne psy jadły osypkę zwaną „tłucz“, pomaszczoną tylko niekiedy łojem (½ *lapidem sepi pro lampis et canibus nutriendis 44*), psy medyolańskie otrzymywały *specialiter* mięso (394).

Dalej stosownie do swego przeznaczenia rozróżniano jeszcze psy jelenie *canes cervorum seu yelyenie* (557), których zalety polegały głównie w rączości i *canes ursini alias kurcze* (556), psy używane na niedźwiedzie, zapewne odznaczające się odwagą, siłą i zaciętością. Psy prowadzono na sforach z żelaznego łańcucha *(cathenulae ferreae ad ducendum canes 207)*. I lekarstwa na psie choroby nie były w królewskiej psiarni nieznane; leczono je siarką i smarowano tłustością (*arvina ungere 224*).

Ulubionem podówczas było polowanie z sokołem na ptactwo zwłaszcza, a niekiedy i drobniejszą zwierzynę czworonożną. Jak można wnosić ze wzmianek niektórych, posiadał Jagiełło znaczną ilość sokołów i jastrzębi, ułożonych do polowania. Prócz sokołów (*falcones*) były tu więc jastrzębie (*accipitri)* i szczególnie troskliwą opieką otoczony, więc nader cenny *albus falco* biały sokół (raróg). Osobna służba zwana sokolnikami (*falconistae*) była obowiązaną strzedz i karmić sokoły. Jako karmę podawano im żywe kury i gołębie i stąd w rachunkach spotykamy ciągle na wydatki tego rodzaju jak np. za kury i gołębie dla sokołów 3½ skojca (*galline et columbae falconibus III½ scotos*), lub przez te tygodnie za gołębie dla białego sokoła codzień po pół grosza, co czyni 1 markę 3 skojce *(item per istas peptimanas comparando columbas pro* albo *accipitre quolibet die pro ½ gr. tot facit I. marc. III scot. 288)*; a przy ówczesnej jak wiemy wartości pieniądza suma ta przedstawia stosunkowo dość pokaźny wydatek.

(Dokończenie nastąpi.)

*) Liber beneficiorum.

Królewskie ptaki.

Wsiedliśmy do wagonu, który nas miał zawieść do zielonej Styryi. Zaledwie wjechaliśmy w okolicę wspaniałych krajobrazów, gdy chmury zaciemniwszy horyzont, spuściły deszcz obfity na ziemię i zarazem smutek w nasze serca. Ale góry, to nie nasza równina, gdzie jak się zaniesie, to często na trzydniówkę, co czasami do desperacyi doprowadza. Tu deszcz, za godzinę pogoda, znów deszcz lub śnieg i znów pogoda, raptem wiatr i wtedy rozpacz, bo on to najgorszy wróg myśliwego, polującego na głuszca, to iście królewskie stworzenie.

Dziwna to zaiste rzecz, że ten duży, piękny ptak, tak marnym został głosem od natury upośledzony. Lada marny wiatr, a nawet z bliska dosłyszeć go nie można. A jednak jakaż potęga w tym marnym głosie, jakaż siła, gdy dojdzie ucha naszego, siła magnetyczna, która jak ciągnie, jak nęci i jak elektryzuje! Jeden chyba tylko ryk króla czworonożnego w Karpatach tak silnie działa na człowieka.

Stanęliśmy u celu, wysiadłszy z kolasy, zaprzężonej w dwa grube pincgauery, z których jeden deresz, drugi tygrys, potężną formą zupełnie nie zdradzały talentu swojej szybkości i prawdziwie zawstydziły nasze przypuszczenia, tak szybko przywiozły nas na pole działania.

Tu zakwaterowaliśmy się w miejscowej oberży. Załatwiwszy toaletę, trzeba było pomyśleć o wieczerzy i posileniu się na jutrzejszą wyprawę. Pocisnąwszy guziczek dzwonka elektrycznego, usłyszeliśmy niebawem kroki i nie kelner z podbitemi oczyma, w zaplamionym fraku, lecz ładna, świeża i hoża dziewczyna, z włosami oplecionymi w około głowy, zjawiła się z uśmiechem na ustach we drzwiach. Była to córka oberżysty, piękna Zuzia, która wysłuchawszy naszych żądań kulinarnych, obwieściła nam obecność leśniczych, oczekujących nas w sali restauracyjnej na dole.

Zeszliśmy na dół, gdzie usadowiwszy się z naszymi znajomymi przy stoliku, wkrótce zajadaliśmy smacznie i czysto podaną kolacyę. Ludzie ci prości, lecz bardzo poczciwi i otwarci, zaznajomili nas z projektami na jutro i opowiadali ciekawe historye o ptakach, z którymi ja po raz pierwszy miałem zrobić znajomość.

Dzień naszego przyjazdu przypadł na niedzielę, sala więc jadalna w innych dniach próżna, przepełniona była gośćmi, którzy, znając cele przybyszów, ciekawie się im przypatrywali, tembardziej, że przybyli oni z tak daleka.

Lecz i jedna jeszcze rzecz tu ściągnęła miejscową inteligencyę, a to koncert wybornego cytrzysty, który prawdziwie po mistrzowsku uprawiał swoją sztukę. Przy podłużnym stole pod ścianą zasiadł chór miejscowych śpiewaków, który w długich nieco pauzach koncertanta, wykonał bardzo ładnie kilka pieśni styryjskich dobranymi głosami. Wieczór szybko nam przeszedł i dłużej bylibyśmy może zabawiali się przy dźwiękach muzyki, gdyby nie wczesny koncert ranny, o stokroć nam milszy, który w te dalekie kraje nas właściwie ściągnął. Opuściliśmy więc towarzystwo, udając się na spoczynek. Wstyd mi przyznać się do tego, lecz usnąłem i to snem tak twardym, że leśniczy o w pół do drugiej pięć razy stukał w drzwi nasze, a dopiero towarzysz mój przebudził się pierwszy. Gdybym był przypuszczał, jaka to rozkosz myśliwska, byłbym chyba nie spał z emocyi. Gdy jeden z leśniczych zażądał od oberżysty świecy do latarni, częstował go tenże latarnią gotową do użytku. Przyniósł ją na żądanie; była to latarnia zielona, o czerwonem szkle, ogrom, który wisiał zazwyczaj przed budynkiem...

Nareszcie ruszyliśmy we czterech przez wieś. Światło księżyca i miliardy gwiazd zastąpiły nam latarnie. Wkrótce rozdzieliliśmy się, zdążając do innych rewirów i pożegnawszy się staro-myśliwskim okrzykiem *Waidmannsheil*.

Iść było dobrze drogą, która wkrótce zmieniła się w drożynę, a nareszcie w ścieżkę, wijącą się nie zbyt stromo w górę. Gdyśmy weszli do lasu zrobiło się ciemno i przewodnik mój zaświecił latarnię, ze względu na korzenie, kamienie, miejscami śnieg, który jeszcze z zimy nie roztajał, a po którym stąpaliśmy nie zapadając się, bo mróz był kilkustopniowy. Gawędząc cicho, spinaliśmy się tak dobre półtorej godziny wśród ciszy nocnej, przerywanej raz po raz oddalonem szczekaniem psa, dochodzącem nas gdzieś z daleka, z doliny.

W tem przewodnik mój stanął, podniósł papier, starą gazetę z ziemi, zgasił światło, a podawszy mi okrycie, kazał siąść na pniaku, gdyż czas jeszcze był wielki. Papier, który leżał tam jako znak, dokąd iść należy, został użyty do obwinięcia latarki, którą leśniczy wrzucił sobie do worka na plecach. Nabiwszy fuzyę, siedziałem dość długą chwilę, wytężając słuch wśród tej ciszy leśnej. Nareszcie usłyszałem jakby dalekie stukanie dzięcioła w drzewo i dziwiłem się, że ptak ten wśród ciemności już zaczyna myśleć o śniadaniu. Na ten odgłos drgnął leśniczy, wyciągnął szyję, nadsłuchiwał, a pochyliwszy się naprzód, zwrócił się szeptem do mnie z zapytaniem, czy słyszę. Odrzekłem, że nie. Dziwił się zapewne, lecz nie zapuszczając się w tłómaczenia, oświadczył, że powoli i ostrożnie ruszymy dalej. Zaczęliśmy posuwać się w górę, a przewodnik mój stawał, co chwila nadsłuchując. W tej chwili jaśniejsza pręga na horyzoncie od wschodu zapowiadała zbudzenie się dnia i zarazem, niestety, porwał się lekki wiatr. Pukanie mego poczciwego dzięcioła, już znacznie wyraźniejsze, nie ustawało. Leśniczy stanął i zapytał, czy słyszę go teraz? Oczy mi się otworzyły i serce zabiło, jak młotem. Więc to jest głuszec, to to jest śpiew miłosny tego ptaka królewskiego. A ja w naiwności mojej brałem go za dzięcioła! Nie długo jednak mogłem rozpaczać nad pomyłką, bo zresztą i nie było nad czem, gdyż raptem sarnik spłoszony, a nie widziany przez nas, zabeczał donośnie, przerywając ciszę. Lecz zarazem i głuszec ucichł ostrzeżony i w tej chwili przeklinałem, w innym czasie tak lubianego sarnika. Staliśmy jak figury z kamienia, nie wiedząc, czem się to wszystko zakończy i trwało to, przynajmniej dla mnie, całe wieki, aż wreszcie znów głosy upragnione doszły naszych uszu.


Ch. Kröner

Nieraz zdarza się, że sarna głosem spędzi głuszca z przed nosa myśliwemu, zdradzając jego obecność beczeniem. Tą razą św. Hubert chciał inaczej. Sarnik ucichł, a po długiem milczeniu głuszec rozpoczął grę swoją na nowo. Kury, które ze wszystkich stron gdakały, jedna nieznośnie blisko i głośno, wraz z wiatrem zagłuszały formalnie tokującego głuszca. Leśniczy kilka razy zwracał głowę ku górze, w stronę, gdzie siedziała kura i szeptał gniewnie: *So hör' doch auf.* Raptem rzucił moje okrycie na ziemię i szepnąwszy „teraz“, zaczął skakać w stronę głuszca, robiąc po kilka kroków, a ja za nim. Teraz słyszałem całą grę zupełnie wyraźnie, lecz daremnie szukałem oczami głuszca na wierzchołkach strzelistych świerków. Grał on zacięcie i bez przerwy. W drugiej części swego śpiewu głuchy on na wszystko; wtedy to podskakuje się, a nawet głośno rozmawiać można. Lecz biada, gdy spóźnić się ze skokiem, lub ruszyć podczas pierwszej części śpiewu. Z trzaskiem i łomotem zrywa się głuszec i już po polowaniu. Patrzeć nawet nie wolno na niego, bo zauważy ruch oczu, tak bystry jest i ostrożny.

Tokował tak blisko mnie, emocya była szalona, a nigdzie go dojrzeć nie mogłem. Na pytanie leśniczego, czy go widzę, odrzekłem, że nie, wtedy znów w odpowiedniej chwili wskazał palcem pionowo do góry. Staliśmy pod modrzewiem. Mimowoli oczy podniosłem w kierunku wskazanym i w tej chwili o mało krew mnie nie zalała. Kogut siedział na odnodze modrzewia, nademną, z szyją wyciągniętą, wachlarz wspaniale miał rozpięty i grał wesoło i uporczywie. Spuściłem oczy, drżałem w sobie jak liść, słyszałem bicie własnego serca i truchlałem na myśl, że tem może spędzę majestatycznego ptaka. Ochłonąwszy trochę, odskoczyłem w odpowiedniej chwili trzy kroki w tył, złożyłem się, a mając światła dosyć spuściłem cyngiel.

Huk stutysięcznem echem przerwał milczenie i grę głuszca, a leśniczy wykrzyknął: mamy go! bo głuszec w tej chwili trzepiąc głośno skrzydłami spadał ku ziemi, obsypując nas piórkami, lecz, jakby walcząc ze śmiercią, w powietrzu raptem się poprawił, wyprostował i poleciał nisko ciągnąc w dół. Zbladłem, nie spodziewając się takiego rezultatu, nadsłuchiwaliśmy, czy nie upadnie. Wiatr przeszkadzał. Nie miałem nawet czasu ochłonąć, gdy leśniczy zapytał mnie, czy słyszę drugiego. Istotnie grał on w oddali. Tymczasem jasno się zrobiło. Zaczęliśmy więc śpieszyć w tę stronę, lecz czy usłyszał, czy spostrzegł, ostrzeżony przez gdakającą kurę, która ponad nim, głośno ostrzegając, przeleciała, zamilkł zupełnie. Leśniczy kazał próbować podchodzić. Uszedłszy cichuteńko kilkanaście kroków, z wierzchołków drzew doszło mnie głośne porwanie i ujrzałem koguta odlatującego. Złożyłem się, lecz głos: nie strzelać! powstrzymał mnie w moich zamiarach. Stałem zrozpaczony, dowiedzawszy się, że w lot nie godzi się strzelać do tego królewskiego ptaka.

W tem stało się coś wprost bajecznego. Od prawej naszej strony usłyszeliśmy głośne porwanie i wspaniały głuszec, więc trzeci, nadciągnąwszy wprost ku nam, usiadł na strzał na modrzewiu, za mną. Podczas tego, gdy ciągnął, obróciłem się z wolna w miejscu i stałem na jednej nodze i na palcach drugiej, frontem do ptaka, tyłem do leśniczego, oczekując gry. Między dwoma świerkami widziałem dokładnie jego lśniącą głowę i czerwoną plamę nad okiem. Nareszcie zaczął pierwszą część śpiewu, rozglądając się ostrożnie. Jasno było zupełnie. Noga drżała mi w tej niewygodnej pozycyi, a w twarzy leśniczego, który stał ciągle tyłem do głuszca, widział jednak moją minę, grę nerwów w mej twarzy, a zarazem rozpaczliwe położenie, widziałem jakby uśmiech ironiczny. Szeptem zapytał mnie, czy widzę; nie doczekał się jednak odpowiedzi, bo ja bojąc się, że on swoim zwrotem spędzi mi głuszca, który tymczasem posunął się na gałęzi i pokazał mi całą większą połowę, stanąłem na drugiej nodze, złożyłem się i strzeliłem pomiędzy dwa świerki. Co się stało, niestety, nie wiem. Usłyszałem tylko trzepotanie, jakby głuszec nie mógł porwać się z gałęzi, myślałem, że zabity zawisnął, w tem ujrzałem go lecącego między drzewami i — poszedł. Serce mi zamarło w piersi z desperacyi, leśniczy się zwrócił, a wtedy pokazałem mu dwa pióra dość spore, które wiatr unosił z sobą w świat. Byłem w desperacyi, nie wiedząc, co może być przyczyną takich strzałów i rzekłem do mego przewodnika, że chyba śrót mam za cienki, pokazując mu szóstkę. Wtedy zaczął on desperować, że mnie przedtem nie pytał o numer śrótu, przyczem wyraził zdanie, że co najmniej dwójka na głuszca potrzebna. Mimo długiego szukania nie znaleźliśmy pierwszego, a szukając z góry na dół, tak daleko odeszliśmy od drugiego głuszca, że zadecydowałem powrót i zdesperowany i zmartwiony bez ptaka i złomka szedłem do domu. Za to nudziłem mego przewodnika całą drogę, aby wziąwszy pomocnika, szukał raz jeszcze dokładnie, bo trafić musiałem tak jednego, jak drugiego, niechże więc choć jednego znaleść się stara. Powróciwszy do domu zgryziony i zmartwiony, nie zastałem jeszcze, ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, mego towarzysza. Nie reflektując już na śniadanie, położyłem się do łóżka, a choć w chwilę potem usłyszałem kroki kochanego towarzysza, udawałem, że śpię, co wśród rozmyślań z powodu zmęczenia wkrótce nastąpiło na dobre.

Około południa przebudziłem się i usłyszałem jeremiadę mego towarzysza, który również z niczem wrócił. Pomartwieni wygadywaliśmy, ja na śrót, on na strzelbę.

Po obiedzie siedzieliśmy w pokoju, rozbierając epizody naszych niepowodzeń, gdy ciężkie kroki na schodach, a potem w sieni, zwiastowały przybyszów.

Nie zapomnę jak długo żyć będę tej chwili i tego widoku. Krótkie stukanie, drzwi się rozwarły i z uśmiechem na ustach, zgrzany i zmęczony wszedł mój ranny przewodnik, a za nim pomocnik wnosząc na kiju dwa wspaniałe głuszce. Z gromkiem *Waidmannsheil*, podał mi złomek jodłowy, wyjmując go z dzióba królewskiego ptaka. Myślałem, że oszaleję z radości, oba głuszce się znalazły. Wspaniała to zwierzyna; ciemno zielona głowa z silnym połyskiem metalicznym, ogromne, czarne wachlarze biało napstrzone, czerwona jaskrawa, jakby brew nad okiem i ogrom ptaka mają niepomierny urok. Powiesiwszy je na drzwiach, bawiłem się nimi, jak dziecko, przygnieciony prawie ogromem mego szczęścia. Pierwszy z nich daleko jeszcze poszedł i leżał jeszcze niżej od tego miejsca, w którem go szukaliśmy, drugi zaś leżał blisko tego miejsca, gdzie był strzelany i wiatrowi tylko zawdzięczam, że nie słyszałem, jak upadł.

Zabić dwa koguty w tej części Styryi jednego ranka, nie należy do powszednich rzeczy, a ja tak byłem szczęśliwy, że słyszałem trzy stare tokujące koguty i jednego młodego. O tem zaraz się przekonasz czytelniku miły. Nazajutrz wyruszyliśmy znowu na wspaniałe łowy, rozdzielając się z kochanym towarzyszem w progu. Mimo tego, że ranek był ładniejszy od wczorajszego, bo było i cieplej i cichuteńko, nie widziałem i nie słyszałem nic. Wróciłem z niczem, za to mój towarzysz przyniósł wspaniałego głuszca do domu.

Mieliśmy już wracać do naszych penatów, kiedy zapewniono nas, że są dwa pewne, wysłuchane koguty w innych znów rewirach. Zdecydowaliśmy się naturalnie na przedłużenie pobytu o jeden dzień. Na mnie wypadł wir dalszy, gdzie już po południu wyruszyć musiałem, tam nocować, a jutro wrócić. Żal mi było opuszczać towarzysza i w samotnika tylko z chłopem miejscowym, o kiju górskim ostro okutym, ruszyłem w drogę. Droga była daleka, a kij górski był mi po prostu niezbędny. Zmordowany, z silnym bolem w kolanach, przywędrowałem na miejsce. Tu posiliwszy się w karczmie jajecznicą i szklanką górskiego wina, położyłem się na spoczynek, pocieszony przez leśniczego nową wiadomością, że kogut jest pewny. Leśniczy ten, mający lat pięćdziesiąt, kawaler, nie był mi tak sympatyczny, jak tamci, a zapytany czemu się nie ożenił, lecz pędzi żywot samotny w tych górach, zabawił mnie odpowiedzią. Powiadał, że miał się żenić w młodości z panną jakąś w Celowcu, tymczasem ożenił się z nią ktoś inny, lecz to nic nie szkodzi, bo w tych dniach wybiera on się tam, aby się dowiedzieć, czy mąż czasem nie umarł, a wtedy mógłby się żenić. Stałość bajeczna!

Spałem bardzo źle, ale nadzieja usłyszenia raz jeszcze tej gry wspaniałej, kazała zapomnieć o bolu w kolanach i ruszyłem tym razem z kijem, bo teren był trudny w górę. Ranek był pogodny i cichy, choć nieco zachmurzone niebo. Sowa monotonnie odzywała się na szczycie wierzchołka, a my siedząc pod nim, oczekiwaliśmy jasności, nadsłuchując. Pódźka ucichła, przebudzenie dnia było cudowne, panorama wierzchołków gór śniegiem pokrytych różowo połyskiwała, a myśmy ciągle pięli się, to znów spuszczali z góry na dół, przystając co chwila. Kury odzywały się wszędzie dokoła, a małżonek milczał jak zaklęty. Coraz to później, nadzieja coraz słabsza, aż i piąta godzina zdecydowała powrót bez rezultatu. Zmartwiony byłem trochę, bo już nie chodziło mi o zabicie, lecz słyszeć go raz jeszcze pragnąłem. Z niczem o 6-ej wróciłem do karczmy, skąd ruszyłem w podróż do domu. Chłop, który mnie prowadził bawił mnie i historyjkami chciał pocieszyć. Opowiadał o czarnej sroce, która kiedyś cała była biała, a gdy wszystko dziś się zdegenerowało się, więc i sroka zmalała i znów ma białego trochę, gdy zaś drugi raz całkiem zbieleje będzie koniec świata. „Dawniej“, opowiadał mój przewodnik „ludzie byli oszczędni. Widzi pan tę chałupę na dole, była tu u góry druga i tu mieszkał mój pradziad, przeniósł się do X, ale wtedy z tym oto sąsiadem wspólny mieli surdut na niedzielę i kolejno do kościoła chodzili. A to tylko przez oszczędność!“ Po dwóch godzinach zmęczony, z bardzo silnym bolem w kolanach, dobiłem do domu. Naprzeciwko mnie wyszedł mój drogi towarzysz, który zmartwił się, że tak daleka i trudna ekspedycya skończyła się bez rezultatu. Za to on wspaniale sobie użył. Głuszec grał z początku bardzo wyraźnie i wesoło, jak oni się tam wyrażają *(balzt ganz lustig)*. W tem urwał i milczał uparcie. Towarzysz mój usiadł pod modrzewiem i siedział, czekając długo a długo cierpliwie i daremnie. Jasno już było zupełnie, gdy wtem rozmyślił się głuszec milczący i rozpoczął grę z takim zapałem, że zleciał na polanę z modrzewia i tu dopiero rozpiąwszy wachlarz, zaczął śpiew miłosny z wszelkiemi szykanami. Następnie grając i podlatując po kilka metrów do góry zbliżał się do mego towarzysza, który przylepiony do modrzewia z powodu odkrytego miejsca, nie mógł się ruszyć z za drzewa. Leśniczy stał za nim dość odkryty, truchlał więc mój towarzysz, że głuszec go zobaczy. Śliczna to była biesiada dla oka myśliwskiego i wielka emocya, bo w podskokach swoich kogut zjeżdżał na dół daleko, tak, że chwilami zdawało się, że już nie powróci. Tak w podskokach zbliżył się na sztych i na strzał, a że jedna z wiernych małżonek ostrzegając rozkochanego, przeleciała tuż nad głową jego, głośno gdacząc, więc nareszcie zdawało się, że skończy kogut pieśń swoją i odleci. Przestał bowiem już tokować, złożył wachlarz i wydłużył szyję, lecz w tej chwili padł strzał, który przerwał śpiew i ruchy królewskiego ptaka na zawsze. Zaiste wspaniałe polowanie!

Dziwna to rzecz, lecz na tych wspólnych wyprawach naszych, humor zawsze mamy arcydoskonały i bawimy się wyśmienicie. Przepyszne górskie powietrze, ruch, rozkosz myśliwska odświeża, ba odmładza człowieka i zostawia wrażenia niezatarte, i to jakie!

Otrzymawszy zasłużone trofea, ogromne wachlarze, po złomku jodłowym za kapelusz, przepełnieni zadowoleniem, ruszyliśmy do domu.

Artur hr. Sumiński.

Towarzystwo myśliwskie im. św. Huberta we Lwowie.

Dnia 27. maja odbyło się w sali Kasyna miejskiego we Lwowie walne zgromadzenie członków Towarzystwa myśliwskiego im. św. Huberta. Z obszernego sprawozdania z czynności Wydziału dowiadujemy się, że rok ubiegły nie należał do najpomyślniejszych. „Upływający rok myśliwski — czytamy w sprawozdaniu — żegnamy bez żalu, dał on nam bowiem nie tylko §. 41. nowej ustawy łowieckiej, którego bezwzględne postanowienie pozbawiło nas

mnogo pięknych dni życia, spędzanych dawniej w niedziele i święta na łowach, lecz nadto darzył nas prawdziwie desperackiem polem myśliwskiem, wreszcie obarczył dotkliwym a niesprawiedliwym podatkiem. Mniej zatem w tym roku, aniżeli zwykle, odbyło się polowań, mniej też padło zwierza i wszelkiego ptactwa łownego w naszych rewirach“.

Mimo to wszystko jednak szeregi drużyny św. Huberta wcale się nie przerzedziły, lecz owszem, wzmocniły o pięciu nowych członków. Towarzystwo w dobie obecnej, stoi silniej — aniżeli kiedykolwiek, na potężnych podwalinach finansowych, a ducha krzepi w niem nadzieja lepszej przyszłości!... A tę lepszą przyszłość zapowiada ogółowi myśliwych naszego kraju zamierzona przez Sejm reforma dzisiejszej ustawy łowieckiej.

Dalej zaznacza sprawozdanie, jakie stanowisko w sprawie tej reformy zajął Wydział Towarzystwa. Otóż bezpośrednio żadne! a to z tej racyi, że rzeczona ustawa we wszystkich tego rodzaju kwestyach uznaje jedynie kompetencyę galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego. Ono więc jest i będzie zawsze tą jedyną drogą i władzą pośrednią, przez którą we wszelkich sprawach łowieckich zdąża się do celu, o czem każdy myśliwy i wiedzieć i pamiętać powinien. — Tam więc z inicyatywy prezesa Tow. myśliwych im. św. Huberta i członka Wydziału gal. Towarzystwa łowieckiego, p. Seweryna Krogulskiego, poruszono myśl wyboru komisyi dla zbadania ujemnych stron pomienionej ustawy i przedłożenia wyników tego badania II-mu zjazdowi łowieckiemu.

Rezultat był taki, że rzeczony zjazd łowiecki uchwalił polecić Wydziałowi gal. Tow. łowieckiego sporządzenie na podstawie referatu komisyi memoryału i wniesienie go do Sejmu. Tak się też stało. Memoryał ten, opracowany przez p. Krogulskiego, wniesiony został do Sejmu, na ręce gorącego protektora tej sprawy, posła Andrzeja ks. Lubomirskiego.

Dalsza akcya pośrednia ze strony Tow. w tej kwestyi, ujawniła się w tem, że z członków Wydziału, mianowicie z pp.: Godowskiego, Kinelskiego, Horvatha, Dzikowskiego i dr. Krobickiego, złożono dwie deputacye, które wraz z czł. Wydz. i sekr. Tow. łowieckiego, dr. Miziewiczem i redaktorem *Łowca* p. Kolbuszowskim, udały się do referenta tej petycyi w komisyi administracyjnej, posła Leszka Cieńskiego i do wielu innych posłów, celem ustnego poparcia sprawy. Od wszystkich tych, u których deputacye były, uzyskano przyrzeczenie przychylnego załatwienia rzeczonego memoryału, atoli dopiero na jesiennej sesyi sejmowej b. r., gdyż petycya ta, jako wymagająca ustawodawczego traktowania, musiała być odesłaną do gruntownego zbadania Wydz. krajowego.

I to jest owo pośrednie stanowisko, jakie Wydział Tow. w tej ważnej, ogólno myśliwskiej sprawie zajął.

„Kto czyta *Łowca* — pisze autor sprawozdania — (a każdy prawdziwy myśliwy czytać go powinien) zna wspomniany memoryał w całej jego osnowie, wie również i o tem, co gal. Tow. łowieckie zamierza nadal w tym względzie czynić. Aby jednak Towarzystwo to mogło w Sejmie swym głosem skutecznie zaważyć na szali, stając w obronie praw naszych, należy ten głos spotęgować. A więc, komu pożądanem jest odzyskanie napowrót wykreślonych przez ustawę dni z myśliwskiego kalendarza, ten niech w charakterze członka rzeczonego Tow. jawi się na III. zjeździe łowieckim, celem obmyślenia akcyi energicznego poparcia w Sejmie zmiany ustawy łowieckiej po myśli wniesionego już memoryału“.

Dalej zdaje Wydział sprawę z czynności poruczonych mu przez zeszłoroczne walne zgromadzenie i zawiadamia członków, że dokonał zmiany statutu i opracowuje zmianę dotychczasowego regulaminu po myśli nowego statutu.

We własnym zakresie działania Wydziału i Biura dokonano co następuje:

Uznając potrzebę posiadania kniei dziczej, bliżej siedziby Towarzystwa położonej, wydzierżawił Wydział w tym roku, na 9 lat, obszar dworski Nagórzany-Porszna. Obszar ten obejmuje 800 morgów lasu, obfitującego w dziki, tudzież 1000 morgów pól i łąk. Tenuta w pierwszym roku okresu dzierżawnego wynosi 250 zł. i stopniuje się w ten sposób, że w ostatnim (t. j. w 9-tym) roku ma dojść do wysokości 300 zł. Objęcie w fizyczne posiadanie tego rewiru nastąpiło z dniem 15. czerwca 1898 r. w obecności delegatów Wydziału, pp. Godowskiego, Piegłowskiego i sekretarza p. Horvatha, przy współudziale zastępcy obszaru dworskiego. Na łowczego tej kniei kooptował Wydział pana Niedźwieckiego, na jego zaś zastępcę dra Strzechowskiego.

Na uporządkowanie tej kniei, jak wycięcie linii, głównych i strzałowych, ustawienie tryzubów i lizawek solankowych, poniesiono dość znaczne koszta. Wydział ma jednak nadzieję, że nie na próżno, sama bowiem knieja ze względu na swe położenie i otoczenie, nadaje się przy racyonalnej gospodarce i odpowiednim dozorze na prawdziwą matnię dzików i płowej zwierzyny. Z powodu nabycia wspomnianych terenów, dokonała osobna komisya, z wyżej wymienionych członków złożona, następującego podziału rewirów: polny obszar Nagórzany (gminny) i część leśnego (dworski), oba z Sołonką i Porszną graniczące, niemniej też 1000 morgów pól i łąk dworskich, zostały wcielone do 2-go rewiru luźnego, las zaś zwany Kierniczki, przydzielono do kniei nagórzańskiej. Granice oznaczono tablicami.

Nadzór w Nagórzańszczyźnie sprawuje z ramienia Tow. tamtejszy zastępca obszaru dworskiego i jeden leśny miejscowy, zaś od granicy gmin Chrusna i Krasowa osobny dozorca.

Na dozory w tym roku Wydział nie szczędził grosza. Lustracya rewirów dokonana przez właściwych łowczych, wraz z sekretarzem Tow. wykazała potrzebę gdzieniegdzie zmiany, a wszędzie wzmocnienia dozoru.

Dziś liczba dozorujących rewirów — wynosi 40 głów. Reforma ta przyniosła bardzo dodatnie rezultaty. Straże odebrały w tym roku 8 strzelb; 5-ciu kłusowników ukarano sądownie aresztem i grzywnami, a kilku jeszcze kłusowników wyczekuje wyroków.

Nie szczędzono też wydatków na premie, za chwytanie kłusowników, tępienie drapieżników i na hodowanie zwierzyny. Z prywatnego funduszu kilkunastu członków zakupiono puhacza, przy którym w Leśniowicach bardzo dużo ubito drapieżnego ptactwa. W ten sposób dużo łownego ptactwa i zajęcy ochroniono od szponów i zębów drapieżników. Okoliczność ta wskazuje jasno potrzebę zakupienia jeszcze kilku puhaczy i wzięcia się energicznie do strzelania i wogóle tępienia drapieżników, zwłaszcza w porze obecnej, jako porze lęgu, kiedy stare drapieżniki dla wyżywienia swego potomstwa, niezmiernie zwierzostan przetrzebiają.

Dalej zdaje Wydział sprawę ze stanu dzierżawionych przez Wydział rewirów: W rewirze naddniestrzańskim, zniknął w tym roku słupy graniczne z części obszarów Rozwadowa i Ujścia, odstąpionych w drodze kompromisu rotmistrzowi Kunzowi. Rotmistrz ten został już z Drohowyża przeniesiony. Skutkiem tego członkowie tego rewiru, nie potrzebując już obchodzić granic, odzyskają dawną swobodę poruszania się w tym terenie.

Rewirom górskim (Smorze — Klimiec) przybył w tym roku znaczny szmat obszarów, mianowicie 6.800 morgów rustykalnych, a to z powodu zadzierżawienia przez Tow. gmin Iwaszkowiec i Małkowa. Zadzierżawienie tych obszarów wynikło z koniecznej potrzeby rozszerzenia ostoi dla jeleni i gwoli ochronienia ich przed złymi sąsiadami. W ubiegłym sezonie polowano tam tylko w porze ryko wiska, gremialnego polowania nie było czasu urządzić, albowiem nowa ustawa czas ochrony jelenia ustanowiła już od dnia 1-go listopada. Według relacyi p. Galińskiego z dnia 24. kwietnia b. r., otropiono tam na świeżym śniegu w tym czasie: 18 jeleni i 2 rysie.

Knieja Turka, pod Kołomyją, nie dopisała niestety w tym roku na punkcie uczestników. Udziały jakkolwiek wysokie, ale nieliczne, nie pokryły kosztów dzierżawy i utrzymania. Znaczny niedobór, musiano pokryć z ogólnych dochodów budżetu. W rewirach luźnych przypadną do ponownego zadzierżawienia w tym roku obszary rustykalne gmin: Doroszowa, Koszelowa i Rozwadowa, wreszcie i te tereny, które wypadnie zadzierżawić po ustanowieniu przez Starostwa nowych okręgów myśliwskich.

Skarg z powodu szkód, wyrządzanych przez dziki, wpłynęło trzy, mianowicie: ze Stulska, Nagórzan i Turki. Wydział jednak czyniąc wszystko, co ustawa w kwestyi tępienia dzików czynić nakazuje, zdołał rekursami orzeczenia dotyczących starostw obalić. Z dwóch obław zarządzonych przez władzę polityczną, odbyto tylko jedną, t. j. w Nagórzanach, drugą zaś, w Zagórzu, odroczono za zgodą starostwa do dogodniejszej ku temu pory.

Zarządzona przez Wydział obława w Stulsku, nie przyszła niestety do skutku, a to z powodu, iż tylko 3 członków stanęło do apelu. Okoliczność ta zmusza Wydział do przypomnienia w tem miejscu pp. członkom ich obowiązków, określonych regulaminem, a ściślej jeszcze osobnym okólnikiem. Zaniedbywanie obowiązku jawienia się członka na obławach może narazić w przyszłości fundusze Towarzystwa na dotkliwe straty, z racyi wynagrodzenia szkód wyrządzonych przez dziki.

Przypominając ten obowiązek, nie można pominąć milczeniem i drugiego. Aż wstyd, że niniejsze sprawozdanie jako myśliwskie, nie obejmuje wykazu ubitej zwierzyny. A wszakże statut, regulamin i to pod rygorem grzywny, wkładają na łowczych i na każdego członka z osobna obowiązek prowadzenia i przedkładania raz do roku dziennika łowieckiego. Pomimo jednak tych postanowień, mimo przypomnienie tego obowiązku w „Porządku polowań z r. 1898/9", pomimo wreszcie specyalnego urgensu pisemnego, wysłanego pocztą do pp. członków, zaledwie 14 otrzymano rzeczonych dzienników. Czyż to tak ciężkie do spełnienia raz na rok zadanie?...

Dochody Tow. w roku ubiegłym wynosiły 4.851 zł. 82 ct., rozchody 3934 zł. 78 ct., tak, że pozostaje gotówka na r. 1899/90 w kwocie 917 zł. 4 ct.

Wydział więc, pomimo wielkich, nadzwyczajnych wydatków pozostawia zapas kasowy w kwocie 917 zł. 4 ct. i nabytek 8.600 morgów nowych obszarów myśliwskich. Gospodarował więc znakomicie i z dumą stanąć może przed walnem zgromadzeniem, bo ze swych obowiązków wywiązał się tak, jak lepiej nie można.

* * *

Obrady walnego Zgromadzenia zagaił prezes Towarzystwa, p. Seweryn Krogulski. Powitał serdecznie zebranych członków i poświęcił kilka słów pamięci członkowi Towarzystwa śp. Karolowi Tuszyńskiemu, którego pamięć zebranie uczciło przez powstanie.

Przewodniczącym zebrania wybrano p. Kornela Dyduszyńskiego, który na sekretarzy powołał pp. Karola Berdaricha i Tadeusza Krobickiego.

Sprawozdanie, którego streszczenie podajemy powyżej, przyjęto do wiadomości. Prezes p. Seweryn Krogulski, uzupełniając je wyraził żal, że łowczowie, mimo kilkakrotnych wezwań, nie nadesłali dzienników łowieckich, tak, że w sprawozdaniu z czynności Tow. nie można było umieścić wykazu ubitej zwierzyny. Dalej wspomniał p. Krogulski o akcyi gal. Towarzystwa łowieckiego w sprawie zmian ustawy łowieckiej, o wniesionym przez Wydział Tow. łowieckiego memoryale do sejmu i wyraził zdanie, iż bezwarunkowo każdy członek Tow. myśliwskiego im. Huberta, powinien być członkiem gal. Tow. łowieckiego, a nawet w regulaminie powinien być zamieszczony warunek, iż członkiem Tow. im. św. Huberta może być tylko ten, kto jest członkiem gal. Tow. łowieckiego.

Sprawozdanie komisyi rewizyjnej (referent kap. Knapp) która znalazła rachunki we wzorowym porządku, przyjęto do wiadomości, wyrażono skarbnikowi p. Alfredowi Dzikowskiemu przez powstanie serdeczne podziękowanie za znakomitą gospodarkę funduszami Towarzystwa i udzielono Wydziałowi absolutoryum.

W dalszym ciągu przyjęto projekt budżetu i podział rewirów, poczem przystąpiono do wyborów.

Prezesem Tow. wybrano p. Seweryna Krogulskiego, wiceprezesem dra Aleksandra Małaczyńskiego, skarbnikiem p. Alfreda Dzikowskiego, sekreta-p. Wł. Horvatha, wszystkich ponownie, a nadto wybrano zastępcą sekretarza p. Karola Berdaricha. Do komisyi rewizyjnej wybrano pp. Knappa, Kropaczka, Nostadta, Rudzińskiego i Windhardta.

P. Krogulski podziękował w pięknych słowach za ponowny wybór, przyrzekając i nadal pracować ze wszystkich sił dla dobra Towarzystwa i wezwał zebranych, aby wszyscy zjawili się dnia 30. czerwca na trzecim zjeździe łowieckim.

Zgromadzenie zakończyło się pięknym czynem patryotycznym, jak przystało na łowców polskich. Oto na wniosek p. Krobickiego uchwalono wyasygnować z kasy Tow. 10 zł. na sprowadzenie zwłok Słowackiego do kraju, a nadto członkowie zebrali między sobą na ten cel 15 zł. 50 ct.

Towarzystwu im. św. Huberta zasyłamy serdeczne: Szczęść Boże! *Redakcya.*

KORESPONDENCYE.

Brody, 29. maja.

Łagodna zima i piękna wiosna. Zajęcy huk i kuropatw także, już siedzą na jajach, a jak głodu nie będzie, będzie co strzelać. Tymczasem pilnuj strzelcze szkodników, kop lisy i strzelaj wrony, sroki, jastrzębie, a szczególnie trzeba wypatrywać gniazda. Ja teraz co dnia chodzę po lesie z zadartą głową, tak, że aż kark mnie boli i strzelam do gniazd i do żywych szkodników. Dobrze jest mieć z sobą dryling, bo się nie zważa na dystans. Może Niemcy najwięcej tem niszczą szkodniki, że bardzo pilnują gniazd!

Tej wiosny słonki przeciągnęły tak, że mało kto na nie trafił. Ja byłem kilka razy i ani jednej nie widziałem, z naganką także nie trafiłem. Byłem przed świętami w Wysuczce, ale ich jeszcze nie było, dopiero po świętach zabito tam 14 sztuk (przed spaleniem zamku)! Tok cietrzewi zaczął się w lutym, śnieg im kilka razy przerwał wesele, ale jak tylko słońce przygrzało znowu się tok rozpoczynał. Za to w połowie kwietnia już się skończył. Byłem 2. maja, przyleciały jak zwykle, ale jeszcze ciemno było jak się zerwały, posiadały na drzewach i tam tokowały bardzo ostrożnie! bo też w tem miejscu dość ich zabito. W marcu śniegi nie szkodziły małym zającom, doskonale wytrzymały. Widziałem dość ich już po mrozach i śniegach. Już małe sarniątka widziałem. W Niemczech, a nawet na Mazurach bociana strzelają i uważają go za wielkiego szkodnika; to też tam jest on ostrożny jak żóraw i prawie ich tam nie ma.

Prosiłbym panów delegatów, żeby zamieścili każdy swoje zdanie co do bociana. Zapewne, że jest on wielkim szkodnikiem, sam widziałem w kwietniu i maju jak niósł małego zajączka na gniazdo i że brodząc po łąkach nietylko żaby łowi, ale bierze dubelty, kszyki, a nawet i kaczki młode, nawet już podloty. Więc go uznaję za szkodnika, ale go nie strzelam! Może to zabobon! ale u nas na Rusi jest on świętym ptakiem.

M. Tyszkiewicz, delegat brodzki.

Krakowice, w maju 1899.

Dublet jednym strzałem.

Nieraz słyszałem, że myśliwi, nie powiem kłamią, ktożby takich nieparlamentarnych słów używał, lecz przygody, które się zrodziły w bujnej imaginacyi synów Nemroda jako rzeczywistość, przytaczają jako fakt dokonany. Zdarzenie jednak, o którem opowiem, jest prawdziwe i miało miejsce u mnie, na polowaniu w moich rewirach. Poluję zwykle w jesieni przy końcu października, gdyż nie tyle dbam o chwaloną przez smakoszów pieczeń sarnią, jak o rogi, które w naszych stronach do olbrzymich rozmiarów czasami dochodzą; przytem w październiku dość gęsto strzał tak pożądany do słonek, ubarwia łowy; i lis, jakby pozbawiony w tym miesiącu swego naturalnego sprytu, cierpliwie czeka w miocie następnym, aż mu naganka niemal na kitę nastąpi i pomimo wszystkich pozorów ostrożności, o dwa kroki od myśliwego na linię wychodzi, tu nawet nieraz stanie i wyzywającem okiem mierzy strzelca. Tak usposobionych lisów zabito u mnie zeszłej jesieni piętnaście, czasami wprawdzie wypadł i trochę trudniejszy strzał, a po dokładnem obliczeniu, drugich piętnaście puszczono. Widziałem sam, jak pewien myśliwy do dwóch stojących lisów chybił, choć biedaki były z wszelką rezygnacyą na piorunującą śmierć przygotowane. Otóż na jedno z takich polowań zaprosiłem, po raz pierwszy, pewnego sąsiada, dobrego strzelca, a może i myśliwego, lecz nie bardzo świetnie rozróżniającego, o ile się zdaje, rogacza od kozy. Polujemy od rana, już kilka miotów przepędzono, strzałów dość gęsto, różnego zwierza sporo ubito, a mój sąsiad prócz kilku śrutów, które mu obok butów zaszeleściały, nic nie słyszał, nie widział, słowem do niczego się nie złożył. Przykro mi było; pierwszy raz u mnie, mógł sądzić, że mu złe stanowisko wybrałem, że innych faworyzuję, więc po tradycyonalnym bigosie, po śniadaniu, biorę w specyalną opiekę mego gościa i stawiam go obok siebie po prawej stronie, na flance. Już naganka ruszyła, pada kilka strzałów na lewo, obława wrzeszczy pilnuj! nie daj! nie daj! a tu na prawo ani pliszki; patrzę z politowaniem na mego Nemroda, stoi smętny, zrezygnowany, lecz spokojny i cierpliwy i kiedy tak ubolewając nad niesprawiedliwością losu, modlę się do św. Huberta, żeby się przecież zmiłował i cośkolwiek na prawe skrzydło posłał, pędzi wprost na mnie, na sztych ogromny rogacz, zupełnie zdecydowany przebić się przez linię strzelców; w mgnieniu oka opanowałem sytuacyę, teraz! albo nigdy pomyślałem; skoczyłem na lewo z desperacką gestykulacyą i fortel się udał. Zwierz uznał moje gwałtowne ruchy za niestosowne, maniery moje widocznie mu się nie podobały, nagle zwrócił się odemnie, pokazał mi to, co po myśliwsku talerzem zowią i jednym susem uderzył na prawo. Po chwili pada strzał, no! św. Hubertowi dzięki! mówię, mój sąsiad nareszcie ubił rogacza, lecz zamiast zadowolenia i radości, słyszę na prawo desperackie wykrzykniki; przepraszam! nie poznałem: a to d... nadali! koza! niech ją d.... wezmą...; no myślę sobie, szlachcic puścił kozła, a wygarnął do kozy, która z innej strony nadbiegnąć musiała; lecz cóż robić, pierwszy raz u mnie, stało się, nie będę gościowi przykrości robił, więc wołam, mniejsza o to! przepadło, nie wskrzesim! Cicho! bo naganka idzie. Strzelano jeszcze, jeszcze coś ubito, wreszcie naganka doszła do linii; idę w stronę sąsiada, żeby go pocieszać po tym smutnym wypadku, zawsze przykrzejszym dla kozobójcy, niż dla gospodarza, a tu zmiana frontu kompletna; mój Nemrod wychodzi z gąszczu, czapka na bakier, szalona fantazya, wąsa siarczyście podkręca, wzrok dumny i tryumfujący i z daleka woła: a co!... tak się strzela! jednym strzałem dwa rogacze! I rzeczywiście tak było, w chwili, kiedy spędziłem kozła z mojej strony, ze strony zupełnie przeciwnej wypadł drugi, kiedy się krzyżowały, mój sąsiad celnym strzałem na miejscu obydwa powalił, a nie licząc na to rzeczywiście nadzwyczajne w dziejach myśliwskich spotkanie, sądził, że przynajmniej jedno z dwojga będzie kozą. Tak wynagrodzony został sąsiad za cierpliwość, nieprzyjemny szelest koło butów i za poprzednie nieudane dla niego mioty. Rogi tych dwóch kolosalnych rogaczy przechowuję u siebie na pamiątkę sławnego dubleta jednym strzałem.

* * *

Dodaję tu, że wiadomość o dubelcie, z Bonowa z d. 24. kwietnia, podana w *Łowcu* Nr. 9. 1. maja r. b. powtórzyła się i u mnie. Objeżdżając stawy karpiowe z miejscowym rotmistrzem, myśliwym, dnia 25. czy 26. kwietnia, o parę kroków obok karyolki ruszyliśmy paradnego dubelta. Strzelby nie mieliśmy z sobą, wymierzyłem więc laską, lecz przysłowie „jak Bóg dopuści i z kija wypuści" nie sprawdziło się i dubelt drwiąc z nas o 20 kroków zapadł sobie spokojnie. Czy nie jest to złą wróżbą, bo jeżeli były dubelty w kwietniu, czy będą w lipcu?

Delegat jaworowski.

Głogoczów, 8. maja 1899.

Sezon polowania dawno się skończył, a delegaci z Myślenickiego ani myślą złożyć sprawozdania łowieckiego. Wprawdzie była w Nr. 6. *Łowca* notatka p. Kazimierza Bzowskiego z Drogini, lecz nie tyle w charakterze sprawozdania z ubiegłego sezonu, ile prognostyków na przyszłość; chociaż więc dzisiejsze moje sprawozdanie nie dosyć będzie obfite w wesołe nowiny, dla porządku je przedkładam.

W zeszłym roku stawiałem dobrą przepowiednię co do kuropatw i rzeczywiście się sprawdziła. Zabawa była ładna. Nie mówię już o takiej kanonadzie jak była u p. Karola Czecza w Bierzanowie lub u p. St. Larysz Niedzielskiego w Śledziejowicach, bo to już okręg wielicki, ale rezultaty osiągnięte w górskim naszym terenie jak np. w Drogini raz 45, drugi raz 60 kuropatw w 2 godzinach a w 3 strzelby, lub w Głogoczowie na przestrzeni tylko 200 morgów leśnych kultur w 3 strzelby 70 kuropatw jednego dnia świadczą, że starania poniesione przy zakładaniu budek na zimę i tępieniu szkodników sowicie wynagradza przyjemność wyburkujących co chwila nowych stad kuropatw, które tyle miłych wywołują emocyi. Jedna tylko uwaga. Dlaczego my wszyscy takie nędzne psy mamy? bo przyznać trzeba, że żaden z nich krytyki nie wytrzymuje. Trzeba zawczasu pomyśleć o zmianie. Bażańcia próba nie zrobiła wielkiej furory, bo 6 czy 8 kogutów zabitych w Mogilanach i tyleż w Krzywaczce nie stoi w stosunku do ponoszonych trudów, a gdyby się sprawdziło, co utrzymuje p. Larysz Niedzielski, że bażant wypycha kuropatwę, to przyznam się, że wolę nie widzieć u siebie bażanta, który ze względu na zjedzoną pszenicę robi poważną dywersyę kurze *domesticae*.

Co do zajęcy, to było bardzo rozmaicie. W wielickim dobrze, miejscami doskonale, jak w Śledziejowicach i Bierzanowie, o czem swego czasu *Łowiec* już pisał, lecz w Myślenickiem, w północnej części powiatu bardzo źle. Podobno w południowej części było lepiej, tak przynajmniej słyszałem od dr. J. Zdunia z Raby wyżniej, gdzie przy graniu piesków (tam w górach inaczej nie idzie) bawiono się niezgorzej. U nas tu, gdzie piesków nie chowamy, kto tylko idzie w kierunku podniesienia zwierzostanu szanował się i polowania były wprawdzie, ale dla zwyczaju, no i dla cayenny! Z cierpliwością godną uznania, wśród aury często niemożliwej, staliśmy na stanowiskach z miną, jakby o niedźwiedzia chodziło, w oczekiwaniu mającego wyjść lisiury! Naganka się niecierpliwiła widząc, że zające idą bez strzału, nic jednak nie pomogło na upór tych panów, którzy sobie powiedzieli, że tak marne stworzenie nie warte strzału i w marzeniach o lepszej przyszłości, jednego widzianego szaraczka mnożyli przynajmniej przez 10. Może się to i sprawdzi.

U mnie na jednem takiem polowaniu na lisy bez lisów, bo się gdzieś pochowały, a tylko 2 padły, jeden z myśliwych p. Z. B. miał taki „pech", że 18 zajęcy na niego wyszło i każdy słupa postawił. Lecz któż poradzi na zaparcie się myśliwego, który wytrzymał 18 słupów zajęczych i o wiele więcej konceptów i docinków współtowarzyszów myśliwskiej niedoli.

Szanowaliśmy do tego stopnia, że u mnie na dzierżawionych 4.000 morgach padło na kuchnię 3, wyraźnie trzy zające. Podobnież szanował p. Kazimierz Bzowski w Drogini. W Osieczanach mimo złego roku po 2-letniej jednak pauzie, polowanko nad Rabą dowodzi, że mogłaby tam być zwierzyna i postęp jest, lecz w górnej części od strony lasów myślenickich to po prostu aż strach! *Arabia deserta*! Masz racyę do pewnego stopnia panie gospodarzu, że dopóki w Trzemeśni ks. proboszcz chować będzie wilka w organisty skórze i dla niego dzierżawić polowanie, a z drugiej strony w myślenickich lasach będzie uprawiany bandytyzm łowiecki, dopóty polowanie w Osieczanach nie o wiele się podniesie.

Wnosiłem do Wydziału Towarzystwa łowieckiego o zamknięcie sezonu polowania na zające z dniem 20. stycznia, lecz zapomniałem przeczytać w ustawie, że pierwej trzeba chodzić od Annasza do Kaifasza, bo bez tego u nas nic się nie zrobi, a jak w takim razie, to nawet odnośny paragraf ustawy jest tylko dla ozdoby papieru drukiem. Zgadzam się, ale już należało to złotemi literami drukować i z odpowiednimi inicyałami.

W lasach Gaickich zajęcy było mniej w tym roku, niż zwykle, a dziki zupełnie nie dopisały, ku wielkiemu zmartwieniu naszej drużyny myśliwskiej, która napróżno wyczekiwała ponowy i raportu Mikołaja, że dziki są w „Trupielcu" lub na „Kaczej Górze". A ileż to wspomnień ta piękna knieja budziła, ilekroć dawniej dojeżdżając do śniegiem przyprószonych jodeł, pokrywających górzystą tę okolicę, wśród cichego poranku ujrzało się pod ścianą lasu przy żwawym ogniu uszykowaną nagankę i występującego Mikołaja z uroczystą miną, że ośm dzików ma na pewniaka. Dreszcz radości i upojenia znany ci dobrze, myśliwcze, rozgrzewał wtedy serce każdego z uczestników tych godów. Tego roku jodeł przyprószonych śniegiem nie było, cichego poranku nie było, a Mikołaj chodził zawsze ze spuszczoną głową. Lecz cierpliwości!

„Na bezrybiu i rak ryba", więc pocieszajmy się, że stan sarn się podniósł, że piękne te mieszkanki lasów, no... i pól, coraz bardziej zapełniają lasy gaickie, a kto na jednem stanowisku położył 2 rogacze i widział lisa, to chyba bardzo narzekać nie może na zły humor pani Dyany.

Już wspomniałem, że w Drogini nie polowano na zające, lecz za to podziwiano, co zrobić można przy wytrwałości i staraniu około podniesienia zwierzostanu. Zajęcy wcale tak mało nie było, ale co sarn! Kto znał dawniej ten las dziwić się musi, skąd taka ilość sarn, gdy do niedawna tylko kilka sztuk się plątało. Lecz w całym lesie tryzuby z koniczyną, lizawki, żarnowiec, a przytem system nie strzelania za wielu rogaczy, oto sekret właściciela, który utrzymuje, że jeżeli się pragnie, aby stan sarn stale się podnosił, powinno zostawać $^1/_3$ rogaczy na $^2/_3$ sarn. Lecz gdyby i ten rachunek przyjąć, to po odstrzeleniu czterech dozwolonych nam rogaczy w dwóch mio-

tach zostało ich niezawodnie więcej ponad ten stosunek. Brat mój mógł tego dnia sam siedm rogaczy położyć.

W tępieniu szkodników nie zrobiliśmy wielkich postępów, bo zawsze jeszcze grasują one w wielkiej liczbie. W moim lesie zrobiłem próbę założenia czterech koni w grudniu. Do końca stycznia zostały tylko kości a rezultat był: 7 lisów zabitych, podczas gdy dawniej padało 2—3, bo są to lisy przychodnie z sąsiedniego rewiru; — u mnie jam lisich nie ma. Wron i srok sporo przy koniach legło. Niektórzy mnie straszą, że zajęcy mieć nie będę, bo lis, mając w odwodzie konia, tem lepiej na zające polował. Zobaczymy.

Pierwsze tej wiosny zajączki zmarzły w lutym i marcu, które były wietrzne i mroźne, lecz nie wszystkie, bo je widują, zatem nie będzie tak źle, jak w roku przeszłym, w którym motylica straszne zadała cięgi.

O słonkach wspomnieć muszę, że w jesieni ciąg był słaby, przewlekły, ledwo kilka sztuk ubito, na wiosnę dwie widziano dopiero w początku kwietnia.

Za długo się rozpisałem o zwierzynie, o polowaniu, o dzikach i ponowie, których nie było, a tu maj, zielono, pachnie, słowiki śpiewają, strzelba wisi na kołku, a znudzonemu czytelnikowi należy się coś na wety. Cóż naprzykład? no choćby zajączek złapany na druty w marcu, boć wtedy była pierwsza ładna ponowa. Leśny mój Kruk Stanisław przyłapał takiego ptaszka, jak sobie 6. marca stawiał kobyłki z drutu na zajączki.

Zaskarżyłem go do sądu w Myślenicach; rezultat: 4 dni aresztu i 2 zł. kosztów za stawiennictwo leśniczego i leśnego. Ten ptaszek Wojciech Starowicz z Włosani przedrzeźnia się teraz mojemu leśnemu, że da Bóg doczekać pierwszego śniegu tak kobyłki ponastawia, że się i kruki łapać będą!

„Dziwujes się Maryś? dziwuję się“!

Stefan Konopka
delegat powiatu myślenickiego.

Skole, w maju.

Właściciel dóbr skolskich, p. Schmidt wzorowo pielęgnuje w swych rewirach zwierzostan. Między innemi znajduje się tam dużo prześlicznych jeleni. Od roku pojawiły się wilki i rysie, które wyniszczyły dużo tego szlachetnego zwierza.

Zarządcy rewiru libochorskiego udało się zgładzić dwa rysie. W zimie również padł jeden ryś poszedłszy na lep zatrutej koniny.

Cergowa, 18. maja.

Dnia 17. kwietnia b. r. polując w 3 strzelby na poszlakowanego dzika w rewirze „Cergowa“, należącym do lasów kapituły przemyskiej, ubiłem rysia. Jest to silna samica, długości ciała 1 metr 3 cm., wysokości 63 cm. Z miotu pomykał szybko przed ogarem. Jak dosiaduje czasem dzik, dowodem tego okoliczność, iż w tym samym miocie, wziętym gęstą naganką, pozostał na miejscu, z którego go ogar dopiero wyruszył.

Kazimierz Szulc
zarządca lasów kapitulnych.

Kronika.

Arcyksiążę Franciszek Ferdynand polował od 15. do 24. kwietnia na głuszce w dobrach ks. Starhemberga Hellmannsödt i ubił 41 głuszców, a mianowicie 14 w rewirze Reichenau, a 27 w rewirze Wildberg. Arcyksiążę miał to rzadkie szczęście, iż przez dwa poranki ubił po 7 głuszców, a mianowicie 18. kwietnia w Otterschlag w rewirze Reichenau i 22. kwietnia w rewirze Wildberg.

Pasterz różowy (*Pastor rosaeus*) pokazał się w tych dniach w Brzeżańskiem. Dwa jego egzemplarze zabite w Urytwie przez dra Stefana Frenkla i hr. Antoniego Tyszkiewicza zostały nam łaskawie okazane, niestety psuły się tak szybko, że spreparowane być nie mogły.

Dla chorego p. K. H. złożyli: Członkowie Wydziału Towarzystwa na posiedzeniu z d. 24. kwietnia 1899 10 zł., pp. A. Doschott 5 zł., hr. Jadwiga Weyssenwolff 2 zł., Potworowscy 2 zł., A. Gołkowski 1·50 zł., H. M. z Perehińska 1 zł., St. Przybyłowski 1 zł., Władysław Horwath 50 ct., razem 23 zł., które wręczono choremu. Ofiarodawcom serdecznie dziękujemy w imieniu nieszczęśliwego.

Czerwiec.

W czerwcu wolno strzelać tylko rogacze, od połowy zaś miesiąca ptactwo wodne, t. j. gęsi i kaczki. Na to ostatnie pozwala ustawa — nie pozwala zaś sumienie dobrego myśliwego, bo jest to stanowczo za wcześnie dla dobra młodego gęsiego i kaczego pokolenia.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya: Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1. Redaktor odpowiedzialny: Edmund Kolbuszowski.
Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie — pod zarządem Z. Hałacińskiego.